



A Ż D O O F I A R Y Ż Y C I A M E G O !

POLSKA BROŃ

czwartek 1 marca 2018 roku



Henryk Wybranowski „Tarzan”,
ppor. Edward Taraszkiewicz
„Żelazny”, Mieczysław Malecki
„Sokół”, Stanisław Pakuła
„Krzewina”, 1947 r. Fot. IPN



„MOC NASZA PRZEMOC POWALI“*

W obliczu Boga Wszechmogącego
i Najświętszej Maryi Panny,
Królowej Korony Polskiej, kładę swe ręce
na ten święty Krzyż, znak męki i Zbawienia.
Przysięgam być wierny Ojczyźnie mej,
Rzeczypospolitej Polskiej.
Stać nieugięcie na straży Jej honoru,
o wyzwolenie z niewoli walczyć
ze wszystkich sił aż do ofiary mego życia.
Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej,
Naczelnemu Wodzowi
oraz wyznaczonemu przezeń
Dowódcy Armii Krajowej
będę bezwzględnie posłuszny,
a tajemnicy niezłomnie dochowam,
cokolwiek by mnie spotkać miało.
Tak mi dopomóż Bóg.

Rota przysięgi żołnierzy „Kedywu” Armii Krajowej
wprowadzona rozkazem z dnia 12 XII 1942 roku przez
Komendanta Głównego AK generała „Grota”

*Z „Hymnu Polski Podziemnej”

Ppor. Edward
Taraszkiewicz
„Żelazny” (ur. 1921),
dowódca oddziału
WiN Obrwodu
Włodawa, jeden
z najbardziej
poszukiwanych
żołnierzy podziemia
niepodległościowego
na Lubelszczyźnie.
Poległ w obławie
w 1951 roku.
Fot. IPN

Wolna Polska była dla nich wartością najwyższą

Szanowni Państwo,

w Narodowym Dniu Pamięci Żołnierzy
Wyklętych oddajemy hołd żołnierzom podzie-
mia niepodległościowego, których przez lata
usuwano z kart historii Polski.

Dzisiaj możemy przedstawiać prawdę o po-
koleniu Żołnierzy Niezłomnych. Przypomi-
nając konkretne osoby, ich życiorysy, przywra-
camy im człowieczeństwo i miejsce w polskiej
historii. Pokazujemy, że byli to prawdziwi
bohaterowie, którzy zamiast zapomnienia
zasłużyli na honory, szacunek i upamiętnie-
nie. Byli to wielcy patrioci, którzy dla wol-
nej Polski poświęcili życie. „Przysięgam być
wierny Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Pol-
skiej. Stać nieugięcie na straży Jej honoru”
– za te słowa z rot przysięgi AK oddali to,
co mieli najcenniejszego. Słowa „Bóg, Honor
i Ojczyzna” były dla nich czymś więcej niż
napisem na sztandarze. Wolna i suwerenna
Polska była dla nich wartością najwyższą.

Nie godząc się z dyktaturą władzy ko-
munistycznej, kontynuowali walkę po roku
1945. Często w osamotnieniu, w skrajnie
trudnych warunkach, ryzykując życie swoje
i bliskich, pozostali wierni ideałom. Wielu
z nich nie doczekało wolnej Polski. Spoczęli
w bezimiennych mogiłach, a pamięć o nich
trwała tylko w gronie najbliższych.

Dzisiaj żyjemy w Polsce wolnej i su-
werennej. Dzięki świętu ustanowione-
mu z inicjatywy śp. prezydenta Lecha
Kaczyńskiego przywracamy bohaterom tzw.
drugiej konspiracji należne im miejsce w na-
szej historii. Jesteśmy im winni dożywotnią
wdzięczność, podziw i szacunek.

Każdego dnia, nie tylko 1 marca, pokażmy,
że pamiętamy o tych, dzięki którym żyjemy
w wolnej Ojczyźnie. Uczcijmy ich słowa-
mi, na które zasłużyli niezłomną postawą –
cześć i chwała bohaterom!

**Mariusz
Błaszczak**
minister
obrony
narodowej





Mjr Marian Bernaciak wjeżdża na czele swoich oddziałów do wyzwolonych Ryk. Fot. IPN

„ZBLIŻAM DZIEŃ WOLNOŚCI NASZEJ“

Gdy został zastrzelony przez UB, miał zaledwie 29 lat. Mjr Marian Bernaciak „Orlik” był wówczas zwierzchnikiem wszystkich oddziałów i grup zbrojnych organizacji Wolność i Niezawisłość na terenie Inspektoratu Puławy.

„(...) Zaraz w pierwszych dniach przyszło rozczarowanie. System policyjny nowego okupanta zagroził mnie i wielu innym drogę. Już w pierwszych dniach został zamordowany w sposób skrytobójczy jeden z moich współpracowników. (...) Zmasakrowane zwłoki, jego mordercy (...) funkcjonariusze milicji obywatelskiej (...) ukryli w lesie, grzebiąc je w rowie przydrożnym. Zginęło wielu żołnierzy Armii Krajowej. Reszta, którzy uniknęli tego losu znaleźli schronienie w lesie. Wśród nich i ja (...) Z wewnątrz więzień zaczęły nas dochoǳić wiadomości mrozące krew w żyłach. Radkiewicz [minister bezpieczeństwa publicznego – przyp. red] niczym nie ustąpił Himmlerowi, a nawet go prześcignął (...) giną bez śladu ludzie, a gdy się znajǳie ich zwłoki, mają po katyńsku ślad strzału w tył głowy, ręce w tył związane często drutem kolczastym (...) Społeczeństwo stanęło do samoobrony. Społeczeństwo powierzyło mi kierownictwo akcją samoobronną. Funkcją pełnić z wiarą, że zbliżam dzień wolności naszej. Dla tej wolności poświęciłem wszystko bez reszty...”. Tak „Orlik” w powojennym, kolportowanym wśród lokalnej społeczności, manifestie wyjaśniał motyw wywłoki i odpowiadał na rozgłaszane komunistyczne kłamstwa na swój temat.

Podoficer rezerwy Marian Bernaciak szlak bojowy rozpoczął 1 września 1939 roku. W kampanii wrześniowej służył jako podporucznik Wojska Polskiego w 2 Pułku Artylerii Ciężkiej. Walczył z niemieckim i sowieckim wojskiem – jako obrońca Włodzimierza Wołyńskiego trafił do niewoli. Uciekł z sowieckiego transportu wiozącego jeńców do Kozielska – tego samego, który kończył się w Katyniu i dla wielu jego kolegów stał się ostatnią drogą. Od razu rozpoczął działalność konspiracyjną w ZWZ. Najpierw pod przykrywką księgarza i przedsiębiorcy (w rodzinnych Rykach), następnie jako dowódca Kedywu podobowdu „A” (Dęblin-Ryki) Armii Krajowej. „W pracy konspiracyjnej brałem udział od początku okupacji niemieckiej. I każdy, kto stanął do walki z okupantem, był moim towarzyszem broni bez różnicy na jego narodowość czy wyznanie. Każdy, kto cierpiał od okupanta, był moim bratem, a braterstwo wynikało ze wspólnych cierpień”, pisał o sobie.

Do oddziałów „leśnych” trafił w 1943 roku, gdy na jego trop wpadło gestapo. Związki jego partyzanckiego oddziału rozrósł się do kompanii. Już jako dowódca przyjął pseudonim „Orlik” i dowodził OP I/15 pp. „Wilków” AK. W akcji „Burza” jego od-

dział liczył już około 300 osób. Latem 1944 roku żołnierze „Orlika” wyruszyli na pomoc walczącej Warszawie, jednak ostatecznie nie udało im się przedostać do stolicy.

„Orlik” na celowniku czerwonoarmistów

Po wkroczeniu Armii Czerwonej rozpoczęło się polowanie na „Orlika” i jego ludzi. Korzystając z wycofywania się wojsk niemieckich, oddział Bernaciaka samodzielnie zajął Ryki. W tym burzliwym okresie dowódca zmuszony był rozwiązać swój oddział. Wkroczenie Sowieców na polskie tereny oznaczało dla partyzantów AK i samego „Orlika” okres prześladowań. Gdy nowe rządy sowieckich władz poczuła okoliczna ludność, Marian Bernaciak znów zebrał żołnierzy. Organizował samoobronę na terenie Inspektoratu Puławy, a następnie służył tam jako oficer, zwierzchnik wojskowy i de facto dowódca sił partyzanckich w niepodległościowej organizacji WiN – Wolność i Niezawisłość. Na nowo oddział zawiązał „Orlik” w marcu 1945 roku, a już w kwietniu i maju jego żołnierzom udało się rozbić oddział KBW w Woli Zadybskiej, zaatakować PUBP, uwalniając ponad 100 więźniów, zadać straty siłom UB pod Annówką i pokonać oddział NKWD

i UB w bitwie w Lesie Stockim. Po takim „rajdzie” komunistyczny reżim uznał „Orlika” za wroga numer jeden.

„Zgrupowanie »Orlika« było silne wsparciem polskiego społeczeństwa, zwłaszcza wiejskiego, które pomagało partyzantom. Około 90% żołnierzy tego zgrupowania miało pochodzenie wiejskie. Ponadto kadra oddziału przedstawiała wysoką wartość pod względem wykształcenia: wielu dowódców czy żołnierzy miało za sobą przedwojenną służbę wojskową lub udział w kampanii wrześniowej. Łączyła ich idea walki za wolną i niepodległą Polskę. Żołnierze byli dobrze uzbrojeni, bardziej brakowało im amunicji”, mówi Krystian Pielacha, współautor monografii „Do ostatniej kropli krwi. Major Marian Bernaciak „Orlik” 1917–1946”.

W oddziale panowała żelazna dyscyplina – za przywłaszczenie mienia czy pijaństwo groziła np. chłosta, ale za „recydywę” już kara śmierci. Dowódca cieszył się dużym autorytetem. Krystian Pielacha tłumaczy fenomen „Orlika” jego cechami charakteru. „Istotną rolę odgrywały osobiste predyspozycje. Potrafił urwać się przeciwnikom, nie dać się osaczyć obławie, surowo przestrzegał zasad konspiracji. Nie podejmował pochopnych decyzji, które mogły

ŚMIERĆ ALBO ŚMIERĆ

W tle największej partyzanckiej bitwy pod Lasem Stockim, a w zasadzie u jej genezy, mający donos i ponura postać konfidenta – figury, bez której Polska Ludowa nie przetrwałaby ani godziny.

Lubelszczyna tuż po wojnie to rozgrzany do czerwoności (par excellence) poligon zajęć praktycznych z utrwalania władzy ludowej. Stąd na tym terenie duża koncentracja wojsk podziemia – około 5 tysięcy żołnierzy. Kontynuowali oni – obok białostoczczyzny – tradycję starć zbrojnych, gdy w pozostałych regionach podległych zarządowi WiN-u rekomendowano raczej oszczędzanie żołnierskiej krwi.

24 maja 1945 roku, w pooranej wawozami niewielkiej wsi Las Stocki starły się siły regularnych wojsk dwóch państw, reprezentujących odmienne cywilizacje: Polskiego Państwa Podziemnego i Polski Ludowej. Armie, które dzieliło wszystko: liczebność, uzbrojenie, warunki bytowania, morale. Zbliżony był za to stopień determinacji. Żadna ze stron nie brała jeńców. W tle bitwy, a w zasadzie u jej genezy, mający donos i ponura postać konfidenta – figury, bez której Polska Ludowa nie przetrwałaby ani godziny.

Na czele, jak zwykł opisywać w raportach oficer polityczny, „kryminalistów, dezerterów i wrogich sił reakcyjnych” stał Marian Bernaciak „Orlik”, przedwojenny absolwent szkoły podchorążych, podporucznik rezerwy. „Orlik” dowodził w większości żołnierzami podobnymi sobie, stąd wysoki poziom wyszkolenia wojskowego i dyscypliny w jego oddziałach. Druga strona dowodzona była przez oficerów sowieckich.

Bitwa rozegrała się w dramatycznych okolicznościach. Wyczerpane kilkudziesięciogodzinny marszem oddziały „Orlika” dopiero co dotarły do wsi, by wypocząć po nekających je obławach. Atak był dla nich kompletnym zaskoczeniem, stąd straty w pierwszej fazie starcia. Żołnierze

obu stron konfliktu walczyli w podobnych mundurach – dla rozpoznania bratnie siły NKWD, MO i UB podwinęły sobie lewe rękawy i ustaliły hasło. Brzmiało ono ni mniej, ni więcej: „Leningrad”. Hasło zdołało wybrzmieć tylko raz, bo patrol „Orlika” (w którego składzie walczył Jerzy Ślaski „Nieczipa”, późniejszy redaktor naczelny „Polski Zbrojnej”), zlikwidował dowództwo grupy operacyjnej komunistów, co wprost przyczyniło się do zwycięstwa formacji niepodległościowej.

Przypominanie walk partyzanckich to oddanie właściwej historycznej proporcji zjawisku, o którym do tej pory mówiło się tak niewiele. Dziś, gdy słyszy się głosy znuzenia tematem „wyklętych”, trzeba podkreślać, że nie były to epizody bez znaczenia. Bitwy partyzanckie to nie samowolne porwy romantycznych bohaterów, uwiedzionych „reakcyjnymi” mrzonkami, to nie rachityczny ruch oporu – to systematycznie prowadzone operacje wojskowe regularnych oddziałów żołnierzy, podlegających dowództwu i rządowi. Przypomniał o tym zresztą inny syn ziemi lubelskiej, Hieronim Dekutowski „Zapora”, na wieść o ogłoszonej przez władzę ludową amnestii: „Amnestia to jest dla złodziei, a my to jesteśmy Wojsko Polskie!” (stąd zresztą ogłoszenie żołnierzy posadzonych o dezercję – dezerterować z Wojska Polskiego można było w drugą stronę, pod rozkaz sowieckich dowódców).

Wspominamy bitwę w Lesie Stockim również dlatego, że w lubelskiej wsi stanęły naprzeciw siebie dwie metody czytania rzeczywistości, dwa modele podejścia do wartości, wolności, stosunku do polskiej tradycji, wiary przodków. Traktowania państwa i narodu jako ciągłości. Żołnierze podziemia to byli ludzie, którzy za zgodą i wiedzą swych rodzin podjęli decyzję bez odwrotu, z pełną świadomością konsekwencji. Stanęli w obliczu alternatywy „śmierć albo śmierć”.

Las Stocki spłonął, tak jak wiele lubelskich wsi sprzyjających żołnierzom podziemia. Przypominając bitwy partyzanckie, przypominamy format tamtych ludzi, którzy po pięciu latach wojny i okupacji, podnieśli się jeszcze raz. Przypominamy też wielkość cywilnego zaplecza, które choć zmęczone wojną i zastraszone, trwało w milczącym uporze. Nijak nie chciało dać się „uświadomić klasowo” i różnym krokiem wkroczyć na świetlaną drogę społecznego awansu, nawet za cenę złamanych karier i życia kilku pokoleń w cieniu, na marginesie. To właśnie z perspektywy tych ludzi należy rozpatrywać wszystkie wybory dokonywane à rebours przez ich sąsiadów. Gustaw Herling-Grudziński, spierając się z Jerzym Giedroyciem o zakończenie książki „Inny świat”, przekonywał, że perspektywa człowieka wolnego w każdych warunkach daje moralną siłę do podejmowania heroicznych wyborów.

Kilka lat temu zanotowałam sobie przytoczony w pewnej historycznej publikacji cytat z pamiętnika krakowskiego profesora Henryka Elzenberga, który pod koniec 1941 roku zapisał: „Ale przecież w głębi jakiś stosunek do zdarzeń kształtować się musi (...). Pocucie absolutnej dwutorowości dziejów – dziejów zbrodni i dziejów ducha, idących obok siebie bez najmniejszego wzajemnego oddziaływania, tworzonych przez gatunki ontologicznie bardziej sobie obce niż w zoologii jaszczury i amonity...”. Las Stocki – dzieje zbrodni i dzieje ducha.

Anna Putkiewicz



Żołnierze z oddziału „Orlika” – ojciec Bolesław Kuchnio „Nerwowo” i syn Brunon Kuchnio „Śmiaty”, 1946 rok. (J. Ślaski, Żołnierze Wyklęci, Warszawa 2000)

Cytaty z manifestu „Orlika”, a także z tytułów prasowych pochodzą z książki: Mirosław Sulej, Marian Bernaciak, Orlik. Biografia, Oficyna Wydawnicza Volumen 2015.

Mike Bruszewski



Komander Stanisław Mieszkowski



Komander Jerzy Staniewicz



Komander porucznik Zbigniew Przybyszewski



Komander porucznik pilot Kazimierz Kraszewski



Komander porucznik Robert Kasperski



Komander Marian Wojcieszek



Komander porucznik Wacław Krzywiak

Skazani podczas pokazowego procesu komandorzy zajmujący najwyższe stanowiska w polskiej flocie

ŁĄCZKA ODDAŁA KOMANDORÓW

21 lipca 1952 roku zostali skazani na śmierć. Dzień później w życie weszła nowa konstytucja zatwierdzona przez Stalina. Tak rodziła się ludowa Polska. Ciała trójki komandorów oskarżonych o szpiegostwo udało się odnaleźć dopiero po kilkudziesięciu latach.

Rankiem 6 lutego 2014 roku dr Witold Mieszkowski odebrał w swoim mieszkaniu na Żoliborzu telefon. „Czy jesteście państwo w domu? Tak... To ja w ciągu 20 minut u państwa będę”. Dzwonił prof. Krzysztof Szwagrzyk z Instytutu Pamięci Narodowej, który od bez mała dwóch lat na warszawskiej Łączce poszukiwał szczątków ofiar komunistycznego reżimu. Dwadzieścia minut później, obaj wzruszeni, uściśnili się bez słów. Tak właśnie została rozwiązana ostatnia zagadka dotycząca udrczenia, śmierci oraz pochówku dowódcy floty – kmr. Stanisława Mieszkowskiego 61 lat po morderstwie sądowym i równo 260 dni po odnalezieniu na Łączce jego szkieletu.

6 lutego telefon rozdzwoił się też w mieszkaniu Janiny Bogusławskiej-Narloch, wnuczki kmr. por. Zbigniewa Przybyszewskiego. „To trudno opisać. Zakręciło mi się w głowie, oczy zrobiły się mokre. A przecież wcześniej wysyłaliśmy do badania DNA: i ja, i krewni od strony dziadka. Żyliśmy nadzieją, ale taka wiadomość...”, wspomina, powstrzymując płacz.

W tym wypadku wystarczyło pobrać próbkę śliny. Ale by zidentyfikować kmr. Jerzego Staniewicza, specjalści z IPN-u i Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego musieli dostać się do grobu, w którym spoczywał Dudek – tak bliscy mówili o synu Staniewicza, który sześć lat po wojnie zginął wskutek eksplozji niemieckiej miny pułapki. Jednak i ta identyfikacja, choć czasochłonna, przebiegła w końcu pomyślnie. Szczęście w nieszczęściu – szczątki wszystkich trzech oficerów marynarki spoczywały do-kładnie tam, gdzie dziś przebiega cmentarna alejka.

Katyń, ciąg dalszy

Najpierw była służba w przedwojennej marynarce, walka o Hel, wreszcie niemieckie oflagi, w których wszyscy trzej spędzili wojnę. Potem zaczęli wracać na Wybrzeże. „Kiedy ojciec trafił do niewoli, byłem półtorarocznym dzieckiem. Dopiero teraz miałem go tak naprawdę poznać”, wspomina Witold Mieszkowski. Przedwojenny oficer do wojska nie chciał wracać. Rozpoczął pracę w Głównym Urzędzie Morskim, został kapitanem portu w Kołobrzegu. Miasto po ciężkich walkach przypominało morze ruin. Powoli zaczęli do niego ścigać polscy osadnicy, ale w ocalałych domach gnieździł się jeszcze Niemcy. „Pamiętam, że ojciec nakazał niemieckim rybakom podnieść z dna ich dawne kutry. A potem przyszli Sowieci i wszystkie kutry zabrali na wschód. Powoli zaczynałem poznawać otaczający nas świat i system, w którym nagle przyszedł nam zyc”, opowiada Witold Mieszkowski. Jego ojciec nie miał co do komunistów złudzeń. Ci jednak zaczęli kusić. Piotr Szubarczyk, historyk z gdańskiego oddziału IPN-u: „Model był zawsze podobny: »Proszę pana, jest pan doświadczonego oficerem, a Polska jest tylko jedna i bardzo na pana liczy. Kto wychowa przyszłe kadry? Młodzie chłopcy, którzy marzą o służbie na morzu, potrzebują pana. Wielu pańskich kolegów do służby wróciło...«”.

Z Mieszkowskim skontaktował się przedwojenny oficer, kmr. Adam Mohuczy, który teraz pełnił obowiązki

dowódcy marynarki wojennej. Poleciał, by ten zorganizował w Gdyni Oficerską Szkołę Marynarki Wojennej. Mieszkowski otrzymał powołanie i na powrót przywdział granatowy mundur. Podobnie potoczyły się losy Przybyszewskiego i Staniewicza. Wszyscy trzej komandorzy jako świetni specjaliści szybko awansowali. Pierwszy został dowódcą floty, drugi szefem artylerii MW, trzeci szefem Wydziału MW w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego. Ich dni były jednak policzone.

„Oficerowie o przedwojennym rodowodzie dla nowej władzy byli wrogami. Komuniści chcieli ich zgromadzić w jednym miejscu, wykorzystać, a w sprzyjającym momencie zabić. Dokończyć to, co rozpoczęli w Katyniu”, mówi Piotr Szubarczyk. Witold Mieszkowski dodaje: „Komuniści liczyli się z tym, że w końcu wojna z Zachodem może wybuchnąć. A wtedy tacy ludzie jak mój ojciec poprowadziliby flotę przeciwko nim. Tego bali się jak ognia”.

Marszałek od czystki

„Dziadek chciał odejść ze służby”, opowiada Janina Bogusławska-Narloch. „Pobyt w obozie jenieckim odbił się na jego zdrowiu. Chorował na serce, zaczęły mu dokuczać nerki. W połowie września wybrał się do Warszawy, by złożyć dymisję. Babcia wspominała potem, że na odchodnym rzucił: »Gdyby się coś ze mną stało, ty musisz wrócić do pracy«. Babcia Helena była aktorką Teatru Lalelek... Komuniści wiedzieli, że dziadek nie ufa sowieckiej władzy. Kiedyś nieopatrnie miał coś takiego powiedzieć podczas odbudowywania baterii w Redlowie”, tłumaczy wnuczka kmr. por. Przybyszewskiego.

Tymczasem terror w wojsku narastał. W listopadzie 1949 roku ministrem obrony w rządzie Józefa Cyrankiewicza został sowiecki marszałek Konstanty Rokossowski. Miał oczyścić polską armię z „niepewnego elementu”. Wkrótce podpisał rozkaz nr 26, który stał się sygnałem do rozpoczęcia czystki. Jeszcze w tym samym roku do aresztu trafił, przeniesiony wcześniej w stan spoczynku, kmr. Adam Mohuczy. Przez długie miesiące torturowany, stanął przed sądem za sabotaż. Śledczy tak właśnie zakwalifikowali zatarcie silników w ścigaczach. Mohuczy został skazany na 13 lat, ale końca wyroku nie doczekał. W 1953 roku zmarł w szumskiej celi. W 1950 roku pod sąd trafili też czterej generałowie: Stanisław Tatar, Jerzy Kirchmayer, Stefan Mossor i Franciszek Herman. Komuniści oskarżyli ich o szpiegostwo. Wyroki zapadły rok później. Wszyscy zostali skazani na dożywocie. Sprawa generałów pociągnęła za sobą tzw. procesy odpryskowe. Uwagę śledczych znów przyciągnęła marynarka wojenna.

Miesiące po Przybyszewskim aresztowany został Mieszkowski. A po nim, w krótkich odstępach czasu, kolejni – w tym Jerzy Staniewicz. W sumie za kraty trafiło ośmiu oficerów z Dowództwa Floty, z Wydziału Marynarki Wojennej Sztabu Generalnego i Sztabu Głównego Marynarki Wojennej. Najważniejsze osoby w siłach morskich.

Czarny koc z Londynu

„Kiedy ojciec zniknął, mama posłała najpierw do politruka marynarki wojennej Józefa Urbanowicza, późniejszego wiceministra obrony narodowej, potem do rezydenta sowieckiej marynarki kadm. Iwana Szylingowskiego. Żaden z nich jednak nie potrafił albo też nie chciał powiedzieć, co się z ojcem działo. Byli wyraźnie zdenerwowani”, opowiada Witold Mieszkowski. A potem po kancelariach floty zaczęły krążyć dokumenty. Kmr. Mieszkowski został oddany do dyspozycji ministra obrony, zabrano mu uposażenie, stopień. Wreszcie rodzina dowiedziała się, że będzie proces. Tyle że tajny. „Matka wyszukała ojcu adwokata, ale dostała odpowiedź, że nie zostanie on do rozpraw dopuszczony”, wspomina Witold Mieszkowski. Męża zobaczyła jeszcze dwa razy w życiu. Już po wyroku.

Jednocześnie na rodziny uwięzionych oficerów zaczęły spadać szykany. Witold Mieszkowski wspomina: „Zostaliśmy wyrzuceni z domu, dwukrotnie. W końcu wyładowaliśmy w mieszkaniu bez dostępu do łazienki. Chodziłem się kąpać do kolegi. Jego ojciec był kapitanem żeglugi wielkiej. W pewnym momencie jednak zauważyłem, że coraz więcej czasu spędza, siedząc w fotelu i paląc papierosy. Potem dowiedziałem się, że odsunęli go od pływania. Za kontakty z »pomiotem szpiega i zbrodniarza«”.

Mieszkowsky zaczęli z trudem wiązać koniec z końcem. „Mama pracowała w księgości Centrali Rybnej. Musieliśmy utrzymywać się z jednej niewysokiej pensji. Staralem się

dorabiać, przygotowując dla gdyńskich szkół gazetki ścienne. Śmierć Stalina okazała się dla mnie wybawieniem także z tego powodu, bo zleceni na gazetki było wówczas co niemiarą”, opowiada syn komandora.

Dom stracili też Przybyszewscy. „Dziadkowie mieszkali w Gdyni. Po wyroku musieliśmy się przeprowadzić do Torunia. Wróciliśmy dopiero w połowie lat pięćdziesiątych, kiedy dziadek został zrehabilitowany. Ale w domu mieszkali już

inni ludzie, którzy nie chcieli go opuścić. Babcia z trudem udało się odzyskać swoją własność”, wspomina Janina Bogusławska-Narloch. Stało się to jednak dopiero po kilku latach. Na razie jest rok 1952, a żona komandora Przybyszewskiego usiłuje uzyskać kolejne widzenie. Do tej pory miała tylko jedno. „Dostała wtedy pocztą koc”, opowiada wnuczka komandora. „Wysłał go wujek Janek, serdeczny kolega dziadka, który po wojnie mieszkał w Londynie. Babcia zafarbowwała koc na czarno i pojechała do Warszawy. Chciała, żeby dziadek miał w celi ciepło. Na miejscu dowiedziała się, że wyrok został właśnie wykonany. Półprzymioma babcia przez kilka godzin błąkała się po mieście...”.

5 stycznia 1953 roku w stolicy pojawił się też Witold Mieszkowski. Miał zaledwie 15 lat, ale był nad wiek dojrzały. Do szkoły poszedł przed czasem, właśnie przygotowywał się do matury. W poszukiwaniu wieści o ojcu trafił do Naczelnej Prokuratury Wojskowej, gdzie został dopuszczony do gabinetu samego jej szefa Stanisława Zarakowskiego. „Wyrok na twoim ojcu został właśnie wykonany”, usłyszał. „Czy teraz wierzysz w socjalistyczną sprawiedliwość?”. „Nie wierzyłem, nie wierzę i nigdy nie uwierzę”, odpowiedział Mieszkowski. Dziś, wspominając tamtą rozmowę, przyznaje: „Żałuję tylko jednego. Że wychodząc, nie miałem tyle odwagi, by trzasnąć drzwiami”.

Narodziny ludowej Polski

To nie było zwyczajne śledztwo. Aresztowani oficerowie zostali wywiezieni do Warszawy, gdzie zajęli się nimi

funkcjonariusze Głównego Zarządu Informacji MON. Organ, w skrócie zwany Informacją Wojskową, miał walczyć m.in. ze szpiegostwem i dywersją. W owym czasie na jego czele stał sowiecki płk Dmitrij Wozniesiński. Komandorami zajmowali się śledczy przysłani z ZSRR – wysoko wykwalifikowani specjaliści od łamania ludzi. Aresztowanych poddali długotrwałym torturom. Wojskowa prokuratura zarzuciła oficerom szpiegostwo i zorganizowanie w wojsku spisku, którego celem było obalenie ustroju. „Oczywiście nie było na to żadnych dowodów. Brutalne śledztwo trwało wiele miesięcy. Pobyt w sowieckich karcerach potrafił wytrzymać nieliczni. Niekiedy na skutek tortur przyznawali się do niepopelnionych czynów. Podczas procesu także oni odwołali swoje wcześniejsze zeznania. Choć faktycznie słowo »proces« należałoby brać w cudzysłów. Bo to była farsa. Rozprawy odbywały się poza gmachem sądu, komandorzy nie mieli zaś prawa do obrony”, tłumaczy Piotr Szubarczyk.

Na ławie oskarżonych zasiadło siedmiu oficerów (ósmy jeszcze w więzieniu ciężko zachorował, został zwolniony i zaraz potem zmarł). 21 lipca 1952 roku pięciu z nich usłyszało wyroki śmierci, pozostałych dwóch dostało kary dożywotniego więzienia. Data nie była przypadkowa. Dzień później weszła w życie nowa konstytucja, w której projekcie Stalin osobiście wniósł kilkadziesiąt poprawek. Rodził się PRL. Tymczasem czterech skazanych na śmierć zawnioskowało o łaskę do Bolesława Bieruta, prezydenta z sowieckiego nadania (z takiej możliwości zrezygnował kmr. por. Przybyszewski). Ten zaś przychylił się do dwóch wniosków, podsuniętych mu przez Zarakowskiego. Ostatecznie zginąć mieli trzej komandorzy: Mieszkowski, Staniewicz i Przybyszewski.

12 grudnia 1952 roku Jerzy Staniewicz został sprowadzony do piwnicy więzienia przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie. Za jego plecami stanął kat. Podniósł pistolet i z kilku centymetrów wymierzył w potylicę. Padł strzał. Śmierć była natychmiastowa. Cztery dni później w podobny sposób życie zakończyli Stanisław Mieszkowski i Zbigniew Przybyszewski.

Światło daje nadzieję

O śmierci bliskich rodziny wiedzieli już kilka tygodni po egzekucji, ale była to wiedza niepoparta żadnymi oficjalnymi dokumentami. Co więcej, rozpacz szybko została wyparta przez niepewność. A może i nadzieję? Pod koniec 1953 roku z Polski uciekli do Berlina wysoki funkcjonariusz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego – Józef Świątło. Kilka miesięcy później na falach Radia Wolna Europa zaczął opowiadać o kulisach funkcjonowania systemu komunistycznego. W pewnym momencie rzucił: „Trzech wyższych oficerów marynarki wojennej zostało wywiezionych w głąb ZSRR”. Bez dat, bez nazwisk... Potem przygasająca nadzieja została rozbudzona raz jeszcze.

W 1956 roku okowy systemu na chwilę puszczają. Na głowę nieżyjącego już Stalina i jego popleczników spią się gromy, w Polsce do władzy wraca Gomułka, zamordowani komandorzy zostają zrehabilitowani. Ich rodziny chcą się dowiedzieć, gdzie spoczywają ciała bliskich. Domagają się ekshumacji i godnego ich pochówku. „Wtedy dostaliśmy krótką informację: »Ekshumacja zwłok jest niemożliwa«,” wspomina Witold Mieszkowski.

Niemożliwa? Dlaczego? Czyżby w ogóle ich nie było? Ale upływający czas rozwiewał złudzenia. Pozostało szukać grobów.

„Długo myślałem, że ciała ojca i jego kolegów mogły zostać zagrzebane w Rembertowie”, wyjaśnia Witold Mieszkowski. „Tam mieścił się bolszewicki obóz dla oficerów AK. Poza tym miejsce położone było na uboczu, z dala od ludzkich oczu. Ale pani Janeczka, żona kmr. Staniewicza, która mieszkała w Warszawie, mówiła: »Wdowy chodzą na Łączkę. Tam składają kwiaty, zapalają znicze...«”.

Łączka była wówczas niewielką polaną przylegającą do cmentarza na wojskowych Powązkach. Potem została włączona w obręb nekropolii, w początkach zaś lat osiemdziesiątych wjechały na nią koparki. „Komuniści zaczęli tworzyć tam kwatery dla zmarłych, zasłużonych dla PRL-u”, tłumaczy prof. Krzysztof Szwagrzyk. Prawda o Łączce wyszła na jaw dopiero w 1989 roku, już po upadku komunizmu. Wtedy w archiwach prokuratury został odnaleziony tzw. protokół komisji Kosztirki [od nazwiska ówczesnego prokuratora]. 33 lata wcześniej badała ona sprawę tajnych pochówków żołnierzy, którzy zostali zamordowani przez władzę ludową. Prokuratura wojskowa raz jeszcze wszczęła w tej sprawie śledztwo. W 1993 roku zostało jednak umorzone. „Stało się tak bez przesłuchania świadków, których zeznania mogłyby sporo wnieść. Choćby stalinowskiego prokuratora wojskowego Mariana Frenkla, którego podpis widnieje pod protokołem. Mało tego, w prokuraturze apelacyjnej usłyszałem wówczas, że ekshumacji nie będzie, bo to nie jest sprawa publiczna, lecz... moja prywatna”, wspomina Witold Mieszkowski.

Prace na Łączce ruszyły dopiero w 2012 roku. Kilka miesięcy później ekipa prof. Szwagrzyka odnalazła szczątki ppłk. Aleksandra Kity, straconego 3 grudnia 1952 roku. Kilka dni przed komandorami. Witold Mieszkowski: „Wiedzieliśmy, że ich szczątki muszą spoczywać gdzieś tutaj...”.

Czekając na admirała

„Na Łączce w latach 1948–1956 komuniści w beziemiennych dołach pogrzebali około 300 osób. Wydobyliśmy szczątki wszystkich. Niestety bardzo mało z nich to kompletne szkielety. Koparki pracujące tu w latach osiemdziesiątych zniszczyły większość z nich”, przyznaje prof. Szwagrzyk. Prace identyfikacyjne wciąż trwają. W miejscu anonimowych pochówków stanął Panteon – Mauzoleum Wyklętych-Niezlomnych. Trzech zidentyfikowanych komandorów rozpoczęło 16 grudnia 2017 r. na Cmentarzu Marynarki Wojennej w Gdyni. Na Oksywiu powstaje specjalna Kwatera Pamięci, w której docelowo zostanie pochowanych 21 marynarzy – ofiar komunistycznego reżimu. „Kiedy myślę o pogrzebie, przed oczami staje mi nota identyfikacyjna z ekshumacji. Szkielet był ułożony tak, jakby dziadek się modlił, na klęczkach ze złożonymi rękoma... Nie zdążyłam go poznać. Ale wszyscy powtarzali, że to był bardzo dobry człowiek”, mówi Janina Bogusławska-Narloch. Witold Mieszkowski dodaje: „Mam prawie 80 lat. W 1944 roku byłem w Warszawie. Powstanie było zamknięciem mojego dzieciństwa. Pogrzeb na Oksywiu zamyka moje życie”.

Lukasz Zalesiński
„Polska Zbrojnia” nr 12/2017

RÓŻANIEC Z WIĘZIENNEGO CHŁEBA

Kilkadziesiąt małych kuleczek i serce na grubszej nici z nadłamanym krzyżykiem. Wszystko z czarnego, więziennego chleba. Ta pamiątka pokazuje, z jakich tradycji i wartości czerpało podziemie niepodległościowe.

Józef Urbanowicz przekazał swoje więzienne pamiątki Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL w Warszawie. Wśród haftowanych słomką z siennika chusteczek, grypsów czy kwitu depozytowego był także ten różaniec. Urbanowicz urodził się na Wileńszczyźnie i na cześć marszałka Piłsudskiego otrzymał imię Józef. Po przyjeździe z Kresów na tzw. Ziemię Odzyskane jego rodzice osiedlili się w Trzncanie w Wielkopolsce. Patriotyczna młodzież założyła w miasteczku antykomunistyczną organizację o nazwie „Grünwald”. Grupę rozbito, a osiemnastoletni Józef w 1951 roku został aresztowany i skazany na 6 lat więzienia. Przez jakiś czas w poznańskim areszcie dzielił jedną celę z księdzem. Wtedy wykonał różaniec, który kapłan poświęcił i wspólnie się na nim modlili. Józef nosił go stale w kieszeni więziennego drelchu. Do dziś wspomina, że za kratami ta mała relikwia była dla niego symbolem nadziei.

Jarosław Wróblewski, Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL



Musimy tam wrócić

Coraz częściej odchodzą ci, którzy od lat zadawali nam jedno pytanie: kiedy znajdziecie mojego ojca? – mówi prof. Krzysztof Szwagrzyk

Od lat poszukuje Pan miejsc pochówku żołnierzy podziemia niepodległościowego. Co mówią rodziny, gdy dowiadują się, że odnaleźliście szczątki ich bliskich?

To są poruszające i bardzo osobiste wypowiedzi, szczególnie gdy informujemy o identyfikacji szczątków. Przez dziesiątki lat rodziny nie wiedziały, gdzie pogrzebano ich bliskich.

Zakończyły się prace archeologiczno-ekshumacyjne w kwatery „E” na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie. Jaki jest ich bilans?

Wreszcie po pięciu latach możemy powiedzieć, że przebadaliśmy każdy centymetr ziemi na Łączce. Odnaleźliśmy szczątki ludzkie i fragmenty szczątków należące do kilkudziesięciu osób, resztki obuwia, a także rzeczy osobiste – okulary i medaliki.

Czy coś Pana zaskoczyło?

Największym zaskoczeniem była skala zniszczeń, jakie w latach 1982–1984 wyrządziły na Łączce koparki, gdy przygotowywano ten teren pod nowe pochówki. Został on wówczas przeznaczony na kwatery dla komunistycznych dygnitarzy. W ostatnim roku tam pracowaliśmy. Musieliśmy rozebrać 300 nagrobków i pomników, ekshumować szczątki dygnitarzy i dopiero potem szukać ofiar komunizmu. Tylko w dwóch dołach znaleźliśmy nienaruszone szczątki ludzkie. Na obszarze kilkudziesięciu metrów znajdowaliśmy wymieszane kości ofiar. Gdybyśmy wydobyli z dołów całe szkielety, jak w początkowym etapie prac na Łączce, zyskalibyśmy bezcenne informacje, kto może leżeć w tych dołach, pamiętając, ile osób zostało straconych w poszczególnych egzekucjach. Wówczas moglibyśmy określić dane antropologiczne tych ludzi, postarać się określić, do kogo należą szczątki, a badania genetyczne skoncentrować na konkretnych osobach.

Na Łączce przy murze cmentarnym IPN odkrył również szczątki żołnierzy niemieckich. Skąd się tam wzięły?

Były ekshumowane z różnych miejsc w Warszawie, głównie z małego cmentarza w Łasku Bielańskim w 1951 roku. Wówczas w stolicy likwidowano miejsca, w których wcześniej grzebano Niemców poległych np. podczas powstania warszawskiego. Ktoś wówczas wpadł na pomysł, aby pochować ich na Łączce – wzdłuż cmentarnego muru. Pogrzebani zostali w drewnianych skrzyniach, w których znajdowały się szczątki dwóch-trzech osób. Ciała ofiar komunizmu wrzucane były do dołów i szybko zasypywane. To są dwa różne sposoby podejścia do zwłok. Więźniowie z lat czterdziestych i pięćdziesiątych często opowiadali, że byli gorzej traktowani aniżeli Niemcy.

W jakich miejscach w Polsce trwają obecnie poszukiwania?

Na początku października zakończyliśmy prace w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie, a rozpoczęliśmy na placu Inwalidów i cmentarzu Rakowickim w Krakowie oraz w Lesie Turzańskim pod Rzeszowem. W planach na ten rok mamy także m.in. Mławę i Kielce.

W 2017 roku zaczęliście prace na Kresach.

Pracujemy na terenie Litwy, Białorusi i Ukrainy w wytypowanych miejscach, gdzie znajdują się szczątki tych, którzy polegali w 1939 roku, a także pomordowanych przez Sowieców, Niemców czy Ukraińców. Wiele jest

takich miejsc. Największe problemy występują w kontaktach ze stroną ukraińską, obecnie nie mamy możliwości prowadzenia w tym kraju poszukiwań. Znacznie lepiej pracuje się nam na Litwie, a najlepiej, co może być pewnym zaskoczeniem – na Białorusi.

IPN zwrócił się z apelem do mieszkańców Wileńszczyzny o przekazywanie informacji na temat nieznanych miejsc pochówku ofiar II wojny światowej i komunizmu. Jaki był odzew?

Informacje od mieszkańców są dla nas jednym z najważniejszych źródeł. Nadal nie możemy liczyć na dokumenty sowieckie. Liczymy na pamięć ludzi. Zgłasza się wiele osób. Wiedzą, że trafiły pod właściwy adres, że oto wreszcie państwo polskie upomniało się o groby Polaków.

Na podstawie jakich informacji rozpoczynacie poszukiwania?

Nie ma jednego modelu, według którego postępujemy. Czasem początkiem jest relacja człowieka, który napisał do nas list. Kiedy indziej fragment dokumentu, np. sporządzonego w 1945 roku przez Sowieców z oględzin lekarskich zwłok Jana Borysewicz „Krysia”, komendanta AK. Inspiracją mogą być wydane po latach wspomnienia. Weryfikujemy uzyskane informacje, szukając innych źródeł. Często natrafiamy na nowe trudności. Teren, który ktoś nam wskazał jako miejsce pochówku, wygląda dziś inaczej niż przed kilkudziesięciu laty. Wtedy był łąką lub lasem, dziś jest zabudowany. Pomaga nam współczesna technika.

W jaki sposób?

Zdjęcia lotnicze oraz fotografie z Google’a nanosimy na stare mapy. Korzystamy z liderów i georadarów, które dostarczają informacji na temat ukształtowania terenu albo o zakłóceniu struktury ziemi. Prace archeologiczne są końcowym etapem naszych działań. Do odnalezienia szczątków i ich identyfikacji prowadzi długa i żmudna droga.

Kogo szukacie na Kresach?

Szukamy ludzi, którzy zginęli w walce o niepodległość Polski bądź też zostali zabici przez różnych okupantów. To nasz obowiązek. Poszukujemy także konkretnych osób, m.in. Jana Borysewicz „Krysia”, który zginął 21 stycznia 1945 roku na Litwie w zasadzce NKWD. Jego symboliczna mogiła znajduje się na cmentarzu w Ejszyszkach. Szukamy też Anatola Radziwonika „Olecha”, dowódcy oddziału partyzanckiego rozbitego dopiero w maju 1949 roku.

Obiecującą zaporowadły się prace na Ukrainie, gdzie znajdują się tysiące polskich grobów. Jednak władze ukraińskie nie zgodziły się na ich kontynuowanie, gdy w kwietniu na Podkarpaciu rozebrano pomnik gloryfikujący UPA. Jakie są szanse, że tam wróćcie?

Musimy tam wrócić, bo to nasz obowiązek. Władze w Kijowie uważają, że zniszczenie pomnika w Hruszowicach jest aktem wrogiem wobec ukraińskiego państwa i dlatego cofnęły zgodę na prowadzenie naszych prac. Ta sytuacja musi się zmienić, ale to zadanie dla dyplomacji.

Czy Ukrainę starwają jakieś warunki?

Żądają, abyśmy odwzorowali pomnik w Hruszowicach i ukarali winnych. Nie możemy przyjąć takich żądań. Pomnik ten był łukiem triumfalnym z godłem państwa ukraińskiego.

irńskiego, a u podnóża postumentu widniały cztery tablice ku czci czterech sotni UPA. Nikt w naszym kraju nie będzie niszczył grobów członków UPA, one pozostaną i będą należycie chronione. Jednak nie ma zgody na honorowanie formacji, które doprowadziły do śmierci Polaków.

Na Ukrainie są dziesiątki zbiorowych mogił, na których nie ma jeszcze krzyży.

Natrafiamy na duże problemy ze strony ukraińskiego państwa, aby zalegalizować istniejące już miejsca upamiętnienia i ustalić zasady wznoszenia nowych. Trudno uwierzyć, ale władze ukraińskie zgodziły się na wiele miejsc pamięci, które dziś uznają za nielegalne, a w których odsłonięciu uczestniczyły głowy państw.

Aż dziw bierze, że prace na Białorusi nie natrafiają na podobne problemy.

Na Białorusi pracuje się nam najłatwiej i w najlepszej atmosferze. Spotykamy się z ogromną życzliwością zarówno zwykłych obywateli, jak i przedstawicieli państwa. Nasze działania możemy prowadzić jedynie za pośrednictwem specjalnej formacji – 52 Batalionu Poszukiwawczego sił zbrojnych. Pracujemy razem z żołnierzami, nie mamy żadnych problemów. Państwo białoruskie oczekuje od Polski pomocy w poszukiwaniach na terenie naszego kraju obywateli narodowości białoruskiej, co – mam nadzieję – będzie z naszej strony spełnione. Polityka nie musi być obecna przy grobach.

Kogo szukacie na Białorusi?

Żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza z 1939 roku, a także AK-owców. We wrześniu, w okolicach wsi Pohost w rejonie wileńskim na północny zachód od Mińska, odnaleźliśmy szczątki pięciu żołnierzy KOP-u zamordowanych w 1939 roku przez NKWD. W Dohinowie odbyła się uroczystość pogrzebowa. Były kompania honorowa Straży Granicznej, orkiestra podhalańczyków, przedstawiciele państwa polskiego. Ogromne zainteresowanie okazali nie tylko mieszkający w okolicy Polacy, lecz także Białorusini. Kierownik lokalnego kołchozu dał dzień wolny tym wszystkim, którzy chcieli uczestniczyć w tej uroczystości. Z takim podejściem nie spotkamy się na terenie państwa litewskiego czy ukraińskiego.

Przedstawiciele Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN, którym Pan kieruje, przebywali w lipcu z wizytą w Niemczech, gdzie odwiedzili m.in. nazistowskie oboje koncentracyjne w Sachsenhausen i Ravensbrück. W pierwszych dniach sierpnia 1944 roku w Sachsenhausen zamordowano komendanta głównego AK gen. Stefana Roweckiego.

Polacy zamordowani w Sachsenhausen i Ravensbrück zostali pogrzebani w różnych miejscach na terenie obozów oraz w okolicy. Zwróciliśmy się do Niemców z prośbą o zgodę na wykonanie prac archeologicznych na terenie jednego z cmentarzy, o którym wiemy, że znajdują się tam urny z prochami Polaków pomordowanych w obozie Ravensbrück. Z zaskoczeniem przyjęliśmy informację, że nie jest to możliwe. Usłyszeliśmy, że wszystko zostało już udokumentowane i nie ma powodu, aby naruszać spokój ofiar. Państwo niemieckie prowadzi w Polsce wiele prac ekshumacyjnych i archeologicznych, więc taka argumentacja jest dla nas nie do przyjęcia. Nie może być tak, że jesteśmy traktowani jako nierównorzędny partner.

Od początku poszukiwaniom towarzyszą rodziny. O co proszą?

Wszyscy czekają. Stracili ojców, braci, przez kilkadziesiąt lat próbowali dowiedzieć się, gdzie są pogrzebani ich bliscy. Wierzą, że my ich odnajdziemy. Nie wszyscy doczekają tej chwili. Coraz częściej odchodzą ci, którzy od lat zadawali nam jedno pytanie: kiedy znajdziecie mojego ojca? We wrześniu we Wrocławiu zmarł Zbigniew Lazarowicz. Był synem mjr. Adama Lazarowicza z IV Zarządu Głównego Zrzeszenia WiN, straconego 1 marca 1951 roku. Ilekroć się widzieliśmy, pytał o grób ojca. Zawsze odpowiadałem, że na pewno go znajdziemy, jeszcze chwila cierpliwości. Staramy się dotrzymać słowa.

Dr. hab. nauk humanistycznych Krzysztof Szwagrzyk, wiceprezes Instytutu Pamięci Narodowej, kieruje Biurem Poszukiwań i Identyfikacji. Rozmawiała Małgorzata Schwarzergruber „Polska Zbrojna” nr 11/2017

HISTORIA polska Zbrojna

O TRADYCJI I CHWALE
POLSKIEGO ORĘŻA



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

Tvoja historia –
Twoje życie!

WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL

Polecam!

Anna Putkiewicz, redaktor naczelna



„Ciągłość walki była dla mnie oczywista”

Skazany w stalinowskim procesie na karę śmierci, odmówił napisania prośby o łaskę. 11 sierpnia 1947 roku rozpoczął się proces płk. Franciszka Niepokólczyckiego, szefa organizacji Wolność i Niezawisłość, i jego współpracowników. Zapadło osiem wyroków śmierci.

Lato 1947 roku. Sala sądowa przy ul. Senackiej 1 w Krakowie wypełniona publicznością starannie wybraną przez ubeków. Na ławie oskarżonych – 17 mężczyzn. Wśród nich szczególnie wyróżnia się jeden. Dystyngowany, spokojny, siedzi ukosem do sędziów. Ma na sobie garnitur, jednak wyprostowana postawa zdradza wojskowego. To przedwojenny oficer, płk Franciszek Niepokólczycki, szef WiN-u, największej w 1947 roku organizacji sprzeciwiającej się nowej władzy. Komuniści wyznaczili mu główną rolę w spektaklu, który do historii przeszedł jako jeden z najgłośniejszych procesów pokazowych.

Polowanie na pułkownika

Płk Niepokólczycki („Halny”, „Żejmian”) został szefem II Zarządu WiN w listopadzie 1945 roku, zaraz po aresztowaniu pierwszego prezesa organizacji, płk. Jana Rzepeckiego. Latem 1946 roku ubecy rozpoczęli polowanie na Niepokólczyckiego i jego współpracowników. W ciągu kilku miesięcy do aresztów trafiło kilkuset działaczy niepodległościowych. Sam pułkownik wymykał się obławie (raz uratował się, wyskakując przez okno). W końcu do Krakowa, gdzie się ukrywał, wysłano specjalną ekipę śledczą. Na jej czele stał owiany złą sławą Józef Różański, oficer NKWD i dyrektor Departamentu Śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. To

właśnie on nadzorował śledztwo w sprawie rtm. Witolda Pileckiego i przyczynił się do jego egzekucji. To on doprowadził do samobójstwa Emilii Malessy „Marcysi”, żony „Ponurego”. Ale lista jego ofiar była znacznie dłuższa. W połowie lat czterdziestych Różański postawił sobie za cel ujęcie szefa WiN-u. Stało się to 22 października 1946 roku. Ze statusem więźnia specjalnego Niepokólczycki został przewieziony z więzienia Montelupich w Krakowie do Warszawy na Rakowiecką.

UB zdawało sobie sprawę z tego, że nie musi się różnych sposobów – mamił awansem generalskim, obiecywali wolność dla współpracowników, stosowali szantaż emocjonalny. „Miałem wyjść, w ogóle bez procesu, w marcu 1947 roku, i to z wielkim hukiem, bo z awansem generalskim, Virtuti Militari IV klasy, Grunwaldem” – wspominał później. Niepokólczycki był nieugięty. Do akcji wkroczył szef departamentu śledczego, faktyczny reżyser śledztwa i rozprawy. „Różański odgrywał bardzo ważną rolę w psychologicznym łamaniu więźniów. Mówiło się o nim, że ma na ludzi hipnotyczny wpływ. Łamał najtwardszych, ale Niepokólczyckiego do swojej koncepcji procesu nie przekonał”, mówi dr Wojciech Frazik z krakowskiego IPN-u, autor publikacji poświęconych procesowi krakowskiemu. Po dziesięciomiesięcznym śledztwie pułkownik, chcąc

chronić współpracowników, zgodził się, że podczas procesu nie będzie ostro krytykował komunistów. Ale kategorycznie odmówił składania zeznań przeciwko komukolwiek, wykluczył także możliwość „pokajania się” przed sądem.

Wyroki śmierci

Pierwsza rozprawa w tzw. procesie krakowskim odbyła się 11 sierpnia 1947 roku, ale wyroki w sprawie 17 oskarżonych zapadły jeszcze zanim prokurator Stanisław Zarakowski zdążył odczytać zarzuty. Działaczy WiN-u oskarżono o prowadzenie działalności wywiadowczej na rzecz obcych mocarstw. Z kolei polityków PSL-u o współpracę z nielegalną organizacją. Oprócz płk. Niepokólczyckiego przed sądem stanęli: Józef Ostafin, Alojzy Kaczmarczyk, Walerian Tumanowicz, Edward Bzymka-Strzałkowski, Jan Kot, Eugeniusz Ralski i jego brat Stefan, Wiktor Langner, Mirosław Kowalski, Henryk Münch, Tadeusz Wilczyński (działacze WiN-u) oraz Stanisław Mierzwa, wiceprezes Zarządu Wojewódzkiego PSL w Krakowie i zastępca generalnego sekretarza Naczelnego Komitetu Wykonawczego, a także Karol Starmach, Jerzy Kunce i Karol Buczek.

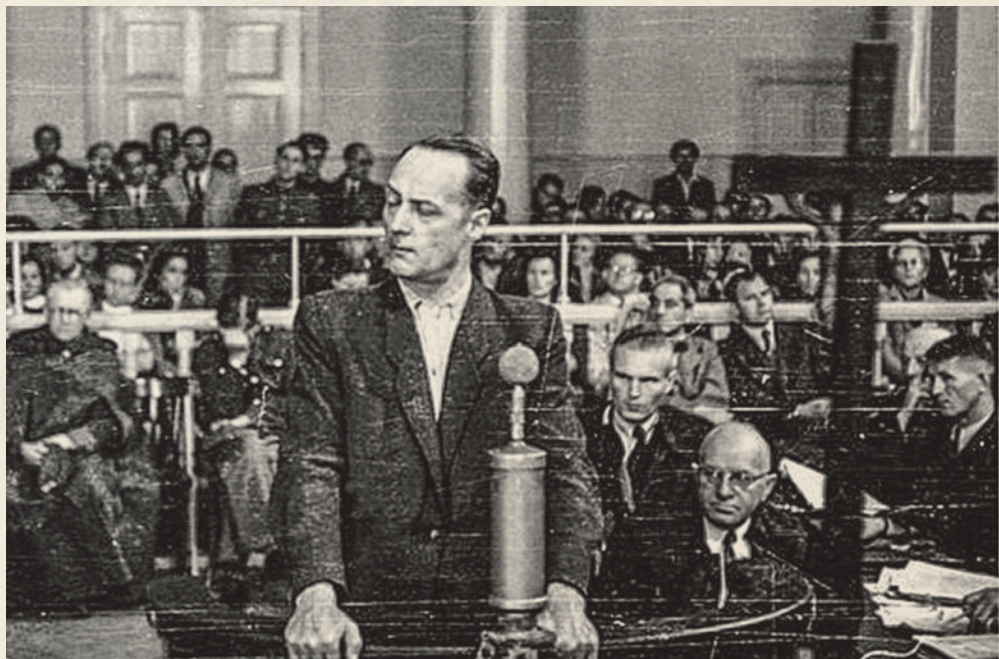
Podczas trwającego miesiąc procesu odbyło się 19 posiedzeń. Płk Niepokólczycki miał zeznawać jako ostatni oskarżony, w 12.

i 13. dniu procesu. Przed sądem oświadczył: „Nie wysługiwałem się obcym. Jako żołnierz spełniłem rozkaz”. „To był typowy proces pokazowy. Jego celem było złamanie ducha oporu w społeczeństwie. W procesie I Zarządu chodziło o to, by wzmocnić poczucie klęski sił niepodległościowych i zmotywować do przyjęcia amnestii i ujednolnienia się. W procesie krakowskim – o uderzenie w PSL, ostatnią legalną opozycję w Polsce”, mówi dr Frazik.

10 września sąd odczytał osiem wyroków śmierci. Kolejne osiem osób zostało skazanych na długoletnie więzienie, uniewinniono jednego oskarżonego. Ostatecznie wykonano trzy wyroki śmierci. 13 listopada 1947 roku przed plutonem egzekucyjnym w Krakowie stanęli Alojzy Kaczmarczyk, Józef Ostafin i Walerian Tumanowicz.

Prosić Bieruta o łaskę? To splamiłoby honor oficera

Płk Niepokólczycki, który otrzymał najwyższy wymiar kary, uniknął śmierci. Wprawdzie odmówił napisania do Bieruta prośby o ulaskawienie, ale list w imieniu jego rodziny napisał obrońca, Mieczysław Maślanko. „Trudno powiedzieć, czemu Bierut zdecydował się na ulaskawienie. Takie ulaskawienia miały charakter polityczny, a nie humanitarny. Może miała być to demonstracja: jesteśmy tak silni, że stać nas na gest nawet wobec takiego przeciwnika... Może władza



Proces płk Franciszka Niepokólczyckiego

chciała dać sygnał, że jeśli będą zachowywać się zgodnie z oczekiwaniami, to uratują życie”, zastanawia się dr Wojciech Frazik.

Syn pułkownika opowiadał po latach, że na korytarzu budynku, w którym odbywał się proces, do Niepokólczyckiego podszedł mężczyzna i szepnął mu: „Nie bój się, będziesz żył”. „To bardzo prawdopodobne, bo decyza o tym, by Niepokólczyckiego najpierw skazać na śmierć, a później, w celach propagandowych, ulaskawić, zapadła jeszcze podczas prowadzonego śledztwa”, mówi prof. Tomasz Balbus. Niepokólczycki trafił na wiele lat do więzienia o zastrzonym rygorze. Był wielokrotnie namawiany do składania wniosków o skrócenie kary. Zawsze zdecydowanie odmawiał. Nie chciał plamić honoru oficera. Został zwolniony dopiero w 1956 roku, na fali odwilży. Do końca życia pozostawał wierny swoim idealom, utrzymywał kontakty z dawnymi żołnierzami AK i działaczami WiN-u. Cały czas był inwigilowany przez SB. W archiwach zachowały się podobno raporty tajniaków, którzy w 1974 roku brali udział w pogrzebie pułkownika.

Do obozu na ochotnika

Kim był człowiek, którego komunistyczna propaganda nazwała watażką Andersa, szlugusem obcego wywiadu, a nawet konfidentem gestapo? Urodził się 27 października 1900 roku w Żytomierzu (obecnie Ukraina). Z Polską Organizacją Wojskową zaczął współpracować jeszcze przed ukończeniem gimnazjum, jako 17-latek. Był jednym z najmłodszych działaczy POW. W dodatku od razu zabrał się za jedno z najważniejszych zadań – tworzenie miejscowej siatki wywiadowczej. By zostać pełnoprawnym członkiem organizacji, musiał czekać do jesieni 1918 roku. Wkrótce wpadł w ręce bolszewików. Wówczas udało mu się uciec z aresztu śledczego. Dwa lata później walczył z Armią Czerwoną jako zastępca dowódcy oddziału partyzanckiego. W wolnej Polsce skończył m.in. szkołę wywiadowczą. Przez krótki czas służył nawet w słynnej Dwójce – Oddziale II Sztabu Generalnego, zajmującym się wywiadem, kontrwywiadem i dywersją. Wiosną 1923 roku został przeniesiony z korpusu oficerów piechoty do korpusu oficerów inżynierii i saperów.

Od początku okupacji był niezwykle aktywny. Według niektórych świadków Niepokólczycki, wówczas jeszcze major, przygotowywał zamach na Adolfa Hitlera. Miał o niego dojść 5 października 1939 roku podczas „defilady zwycięstwa” w Alejach Ujazdowskich. Atak nie został przeprowadzony, bo nie udało się odpalić pół tony trotylu podłożonego na trasie przejazdu Führera. Sam Niepokólczycki nigdy nie potwierdził udziału w tej akcji. Na pewno jednak nie brakowało mu ani fantazji, ani odwagi. Po upadku stolicy zgłosił się do gen. Michała Karaszewicza-Tokarskiego. Chciał, jako jeńiec, dostać się do niemieckiego obozu, by... wyciągnąć stamtąd oficerów saperów. Pomyśl wydawał się czyścym szaleństwem. A jednak w połowie października 1939 roku Niepokólczycki stawiał się w Warszawie z grupą kilkunastu oficerów.

Niewątpliwie był jedną z najwspanialszych postaci Polski Walczącej. Historycy wskazują na ogromną rolę, jaką odegrał w organizacji struktur podziemnej armii, szczególnie pionu sabotażowo-dywersyjnego i służb saper-skich. Był współtwórcą Kedywu AK, szefem Sztabu Dywersji w Oddziale III (Operacyjnym) Dowództwa Głównego SZP, szefem Wydziału Saperów, zastępcą płk. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”, komendanta Kedywu KG AK. Dla gestapo Niepokólczycki szybko stał się jednym z najgroźniejszych i najbardziej poszukiwanych żołnierzy polskiego podziemia. Nic dziwnego, nadzorował bowiem większość działań dywersyjnych i sabotażowych. To właśnie on stał za akcją „Wieniec I”, która odbiła się szerokim echem w okupowanej Polsce. W nocy z 7 na 8 października 1942 roku podkomendni Niepokólczyckiego przerwali połączenia kolejowe z Warszawą, odpalając ładunki wybuchowe w kilku miejscach jednocześnie. Gdy wiosną 1943 roku w warszawskim getcie wybuchło powstanie, Niepokólczycki wysłał podległym oddział saperów do pomocy walczącym. Zdaniem prof. Tomasza Balbusa, to

właśnie ten gest solidarności z żydowskimi powstańcami uratował pułkownikowi życie w 1947 roku. „Istnieje taka hipoteza”, przyznaje dr Frazik. „Podobno Różański (przed wojną nazywał się Józef Goldberg – przyp. red.) zapytał Niepokólczyckiego, czy to prawda; gdy pułkownik odpowiedział, że tak, Różański, jeden jedyny raz, wyciągnął do niego rękę”, opowiada dr Frazik. Po upadku powstania warszawskiego Niepokólczycki trafił do niemieckiego obozu jenieckiego w Woldenbergu. W ołagu znalazł się razem z przyszłym szefem pierwszego Zarządu WiN, płk. Janem Rzepeckim. W lutym 1945 roku wrócił do kraju i do... walki. Tym razem z okupantem sowieckim. Działal w nowo utworzonej Delegaturze Sił Zbrojnych, później współtworzył Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość”.

„Dla mnie istnienie WiN-u było koniecznością w warunkach, w jakich wówczas byliśmy. Jego [tj. płk. J. Rzepeckiego] akcji o charakterze polityczno-propagandowym nie można było uważać za długotrwałą, bo to jest prawie niemożliwe w tym ustroju. Trzeba było szukać innej formy walki, ale nie wolno było kapitulować. Ciągłość walki była dla mnie oczywistą, formy jej – różne. [...] Też o godność narodową i żołnierską nam szło, tym wszystkim, co poczynając od Wilna i Lwowa, jechali do obozów i więzień. Tak było później w Lublinie, Białymstoku, Rzeszowie, Krakowie itd. Przecież na nas, akowców, w marcu 1945 roku w Częstochowie i Warszawie, polowano jak na psy, a w Krakowie w czerwcu 1945 roku przeżyłem dwie łapanki, jak za niemieckich czasów” – pisał do jednego ze swoich przyjaciół w Londynie, ppłk. Przemysława Krackiewiczza (cytat za T. Balbus, „Pułkownik »Halny«. Przywódca Polski Podziemnej”). Pułkownik Niepokólczycki zmarł 11 czerwca 1974 roku. 15 sierpnia 2008 roku prezydent Lech Kaczyński przyznał mu pośmiertnie Order Orła Białego.

Joanna Tańska

WiN – Ostatnia szansa Polaków

„Mimo formalnego rozwiązania AK w styczniu 1945 roku, żołnierze nadal pozostawali w podziemiu i czynnie, z bronią w ręku, przeciwstawiali się sowietyzacji Polski”, mówi prof. Zdzisław Zblewski.

Panie Profesorze, na początku chciałem Pana zapytać, czy rozwiązanie przez p.o. Naczelnego Wódza gen. Władysława Andersa 7 maja 1945 roku organizacji „Nie” i zastąpienie jej Delegaturą Sił Zbrojnych (DSZ) – organizacją stricte wojskową nie było błędem?

Organizacja „Nie” była rzeczywiście ciekawym i przemysłanym pomysłem na działalność niepodległościową pod nową, sowiecką okupacją. Jednak kiedy w kwietniu 1945 roku płk Jan Rzepecki, ówczesny zwierzchnik podziemia poakowskiego, występował do gen. Andersa z wnioskami o jej rozwiązanie, kierował się ważnymi przesłankami. Wymieniłem dwie najważniejsze. Po pierwsze, obawiał się, że po serii aresztowań osób zaangażowanych w tworzenie organizacji „Nie”, jej struktury zostały w dużym stopniu rozbite lub zdekonspirowane wobec Sowietów. Przypomnę, że na początku marca 1945 roku został przypadkowo aresztowany twórca tej organizacji gen. Fieldorf, natomiast pod koniec miesiąca w rękach sowieckich znaleźli się ostatni dowódca Armii Krajowej gen. Leopold Okulicki oraz kilkunastu innych, poinformowanych o istnieniu „Nie”, przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Obawy te okazały się w dużej mierze słuszne, ponieważ podczas moskiewskiego „procesu szesnastu”

w czerwcu 1945 roku wątek ten często pojawiał się na sali sądowej. Po drugie, ograniczenie konspiracji poakowskiej do formuły „Nie” oznaczało de facto pozostawienie swojemu losowi tysięcy akowców, którzy, mimo formalnego rozwiązania AK w styczniu 1945 roku, nadal pozostawali w podziemiu i czynnie, z bronią w ręku, przeciwstawiali się sowietyzacji Polski. Płk Rzepecki chciał zachować nad tymi środowiskami kontrolę, licząc, jak się później okazało zdecydowanie na wyrost, że uda mu się z jednej strony skutecznie ograniczyć rozmia-ry rozprzestrzeniającej się wojny partyzanckiej („rozładować lasy”), z drugiej zaś wykorzystać potencjał poakowskiej konspiracji do rozwijania innych, politycznych form walki z komunistyczną władzą. Do osiągnięcia tak nakreślonych celów organizacja „Nie” zupełnie się nie nadawała, toteż płk Rzepecki był zwolennikiem jej rozwiązania i powołania nowej struktury konspiracyjnej, której gen. Anders nadał nazwę: Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj.

Pełna nazwa organizacji, która powstała 2 września 1945 roku po rozwiązaniu Delegatury Sił Zbrojnych, brzmi Ruch Oporu bez Wojny i Dywersji „Wolność i Niezawisłość”. Już sama nazwa kryje w sobie sprzeczności, by nie powiedzieć, brak realizmu wobec brutalnej rzeczywistości narzuconej przez So-

wietów i służących im polskich komunistów. Czemu kierownictwo WiN-u, złożone w większości z wojskowych zdecydowało się tak wyraźnie akcentować polityczny i cywilny charakter swojej organizacji?

Nazwa „Ruch Oporu bez Wojny i Dywersji” stanowiła odzwierciedlenie poglądów płk. Rzepeckiego i części jego najbliższych współpracowników z lata i jesieni 1945 roku. Twórca Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” kładł nacisk na cywilny i polityczny charakter tej organizacji, gdyż nie wierzył w skuteczność zbrojnego oporu podziemia niepodległościowego, a także nie podzielał nadziei dużej części konspiratorów na rychły wybuch wojny między Związkiem Sowieckim a mocarstwami zachodnimi. Ostatnią szansę na powstrzymanie procesu sowietyzacji kraju widział w wygrananiu przez partię niekomunistyczne „wolnych i nieskrepowanych” wyborów parlamentarnych, obiecanych Polsce przez przywódców trzech mocarstw koalicji antyhitlerowskiej podczas konferencji w Jocie w lutym 1945 roku. Warto zauważyć, że w deklaracji programowej WiN-u z września 1945 roku, zatytułowanej „O wolność obywatela i niezawisłość państwa”, znalazło się stwierdzenie, że „uczciwe demokratyczne



wybory” są „jedyną drogą słuszną i wiodącą do zaprowadzenia w kraju zdrowych stosunków”. Płk Rzepecki wybierał sobie WiN jako ponadpartijną organizację polityczną, która wykorzystując możliwości, jakie daje działalność w konspiracji, miała wspierać jawne ugrupowania opozycyjne, takie jak Polskie Stronnictwo Ludowe kierowane przez Stanisława Mikołajczyka, ograniczać oddziaływanie komunistycznej propagandy na polskie społeczeństwo, kształtować niepodległościowe postawy społeczne oraz podejmować różnorakie działania, których celem byłoby niedopuszczenie do sfalszowania wyników wyborów.

W wielu wspomnieniach przedstawiciele tzw. terenu, w tym żołnierzy oddziałów partyzanckich podległych WiN-owi, można trafić na sformułowania, że albo nie nie wiedzieli o tym, iż AK czy DSZ zmienia nazwę na WiN, albo nie przywiązywali do tego wagi, nadal walcząc z bronią w ręku z NKWD i UB. Dobrym przykładem są tutaj chociażby losy oddziałów mjr. Hieronima

Dekutorskiego „Zapory”, mjr. Mariana Bernaciaka „Orlika” czy kpt. Kazimierza Kamińskiego „Huzara”.

W chwili utworzenia Zrzeszenia WiN w wrześniu 1945 roku sytuacja w podziemiu poakowskim była skomplikowana. Na wielu terenach dawne siatki organizacyjne AK funkcjonowały nadal, a całe powiaty, zwłaszcza Polski wschodniej, kontrolowane były przez oddziały partyzanckie składające się z akowców którzy je zignorowali, powtarzane latem tego roku przez Delegaturę Sił Zbrojnych na Kraj, wezwania do demobilizacji. Między kierownictwem WiN-u a poakowskimi strukturami terenowymi ukształtowała się więc złożona sieć wzajemnych relacji. Jakkolwiek kolejne zarządy główne stały zasadniczo na stanowisku, że walkę zbrojną należy ograniczyć do niezbędnych aktów samoobrony, wykonywanych przez niewielkie, kilkuosobowe patrole, to poczucie odpowiedzialności za losy dawnych oficerów i żołnierzy AK, nadal tkwiących w dawnych strukturach konspiracyjnych lub wręcz „w lesie” powodowało, że te po prostu włączano je do Zrzeszenia w takiej

formie, w jakiej ukształtowały się one jeszcze w okresie okupacji niemieckiej. W tej sytuacji nazwa „Wolność i Niezawisłość” była dla wielu dowódców terenowych jedynie kolejnym symbolem, za którym nie kryły się żadne istotne zmiany w ich dotychczasowej działalności. Nic więc dziwnego, że często nawet nie fatygowali się, aby poinformować o tym swoich żołnierzy, głęboko przeświadczonych, że nadal walczą w szeregach AK. Z punktu widzenia kierownictwa WiN-u poakowskie struktury terenowe, a zwłaszcza oddziały leśne, były często nabytkiem dość kłopotliwym, choćby dlatego, że ich członkowie z reguły nie

podzielali przekonania kolejnych prezesów Zrzeszenia, że czas walki zbrojnej się skończył, a nadszedł okres rywalizacji politycznej. Z drugiej jednak strony wielu lokalnych dowódców chętnie uznawało autorytet WiN-u, gdyż takie podporządkowanie legitymizowało ich działalność oraz pozwalało na wpisanie jej w szerszy kontekst trwającej walki politycznej. W efekcie, między kierownictwem Zrzeszenia a poakowskim „terenem” wytworzyła się w latach 1945–1946 silna zależność symboliczna, w ramach której obie strony poczuwały się do lojalności wobec siebie.

Dr hab. Zdzisław Zblewski – pracownik Instytutu Historii UJ. Zajmuje się najnowszą historią Polski, szczególnie konspiracją niepodległościową po II wojnie światowej. Autor m.in. monografii Okręg Krakowski Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” 1945–1948. Geneza, struktury, działania, Kraków 2005.

Rozmawiał Piotr Korczyński
Pełna wersja wywiadu ukaże się w najbliższym wydaniu kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia”



SPOKREWNIENI SŁUŻBĄ

Ogólnopolska zbiórka krwi z okazji
Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych



Ministerstwo
Spraw Wewnętrznych
i Administracji



MINISTERSTWO
OBRONY NARODOWEJ

Więcej informacji na: www.mon.gov.pl



polskaZbrojna

Projekt z jubileuszowej serii edukacyjnej „Drogi do niepodległości” przygotowany został przez zespół Wojskowego Instytutu Wydawniczego pod redakcją Anny Putkiewicz.

Teksty umieszczone w numerze okazyjnym były publikowane na portalu polska-zbrojna.pl oraz w miesięczniku „Polska Zbrojna”.

Opracowanie graficzne:

Wydział Składu Komputerowego i Grafiki WIW

Marcin Dmowski (kierownik), Marcin Izdebski (opracowanie graficzne)

Zdjęcia: Instytut Pamięi Narodowej, Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL,

Robert Siemaszko / CO MON, Andrzej Witkowski, Jarosław Wiśniewski, arch. Michała Bernaciaka

Redakcja i korekta: Wydział Opracowania Stylistycznego WIW

Marta Sachajko (kierownik)

Druk: Wojskowe Zakłady Kartograficzne Sp. z o.o., ul. Fort Wola 22, 01-258 Warszawa

wiw

Wojskowy Instytut Wydawniczy

Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

Dyrektor: Maciej Podczaski

Miesięcznik „Polska Zbrojna”

Redaktor naczelny: Izabela Borańska-Chmielewska

Portal www.polska-zbrojna.pl

Kwartalnik „Polska Zbrojna. Historia”

Redaktor naczelny: Anna Putkiewicz

Mecenasi wydania specjalnego
„Polski Zbrojnej”



POLSKA
SPÓŁKA GAZOWNICTWA

**ROZGRZEWAMY
POLSKIE SERCA**

Fundacja PGNiG



WWW.POLSKA-ZBROJNA.PL